

Renata Górska
Uniwersytet Łódzki

„Nauczyciele potrafią rozmiłować w swoim przedmiocie...” – pedagogiczne refleksje we wspomnieniach Mistrza

“Teachers can arouse passion in their subject...”
– pedagogical reflections in the memories of the Master

Streszczenie. Artykuł przedstawia wspomnienia Profesora Józefa Pólturzyckiego – pedagoga i nauczyciela akademickiego, wieloletniego profesora Uniwersytetu Warszawskiego oraz Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i Szkoły Wyższej im. Pawła Włodkowica w Płocku. Profesor w swojej narracji wraca do dzieciństwa spędzonego na Kresach, opowiada o latach szkolnych spędzonych w Poznaniu i czasach studenckich w Warszawie. Przedstawia, jak doszło do tego, że w swojej pracy zawodowej zajął się dydaktyką, edukacją dorosłych, komparatystyką i biografistyką. Z narracji dowiadujemy się o wielu ciekawych i ważnych momentach zarówno z życia naukowego, jak i osobistego Profesora.

Słowa kluczowe: nauczyciel, uczeń, literatura, biografia, dydaktyka, edukacja dorosłych, narracja.

Abstract: The article presents the memories of Professor Józef Pólturzycki – educationalist and academic teacher, long-term Professor at the University of Warsaw, the Nicolaus Copernicus University in Toruń and Pawel Wlodkowic University College in Płock. In his narration, Professor returns to the times of his childhood spent in Kresy (“Borderlands”), talks about his school years in Poznan and student days in Warsaw. He explains reasons of his interest in the theory of teaching, adult education, comparative literature and biography. From the narration, it is possible to learn about interesting and important moments referring both to Professor’s scientific and private life.

Keywords: educationalist, student, literature, biography, theory of teaching, adult education, narration.

Przywilejem uprawiania nauki jest to, że czas jest sprzymierzeńcem, a nie wrogiem aktywności zawodowej. Dla ludzi takich jak Profesor Józef Półturzycki, którzy całe życie poświęcił nauczaniu i pedagogice, upływ czasu wydaje się nie mieć znaczenia. W roku 2014 Profesor Józef Półturzycki obchodzi jubileusz 80-lecia urodzin i 60-lecia pracy naukowej oraz dydaktycznej i tak samo aktywnie jak przed laty jest zaangażowany w realizację nowych pomysłów badawczych i przedsięwzięć. Praca i działalność Profesora są świadectwem niezwykle aktywnego i pracowitego życia, pełnego pasji i ciekawości. Wyrazem i dowodem tego są wspomnienia Profesora, które opowiedział podczas wywiadu przeprowadzonego 25 stycznia 2015 roku w Płocku¹.

Wspomnienia Profesora mają ważne znaczenie osobiste, zwłaszcza dla nas, uczniów i współpracowników Profesora. Niezwykła umiejętność współpracy, tworzenia zespołu, inicjowania aktywności badawczej i publikacyjnej prowadziły do tego, że Profesor Półturzycki skupiał zawsze wokół siebie niemałe grono uczniów – współpracowników z ośrodków, w których pracował: Warszawy, Torunia, Płocka. Wszyscy pamiętamy inspirujące konferencje, spotkania, publikacje, z którymi wiążą się żywe i często przywoływane wspomnienia (także w anegdotach). Te spotkania nas zbliżały, nawiązywały się wtedy ważne przyjaźnie, trwające nierzadko do dzisiaj. Profesor jest osobą, która w życiu zawodowym i osobistym odgrywa w naszym życiu bardzo istotną rolę. Wprowadzał nas w życie naukowe: promował nasze prace magisterskie i doktorskie lub był ich recenzentem. Do dzisiaj niejednokrotnie służy radą i pomocą oraz zawsze interesuje się naszymi losami, także osobistymi. Jako uczniowie Profesora doświadczamy od Niego nie tylko merytorycznej opieki, ale także czegoś wyjątkowego: uwagi, zainteresowania i troski.

Praca Profesora od początku była związana z nauczaniem i pedagogiką. Jak do tego doszło, jakim Profesorem był uczniem, czy zamierzał zostać nauczycielem, skąd zainteresowania andragogiką, dydaktyką czy biografistyką? O tych i wielu innych ważnych momentach życiowych i ciekawych epizodach dowiadujemy się ze wspomnień Profesora.

Moi rodzice pochodzili z Kresów...

Dzieciństwo miałem bardzo różnorodne. Urodziłem się co prawda w Warszawie, jeszcze przed wojną, i jako niemowlę wystawione na balkon uczest-

¹ Dziękuję mgr Kindze Majchrzak, mgr Annie Matusiak, mgr Magdalenie Przybylińskiej i mgr Agacie Szwech za dokonanie transkrypcji wywiadu.

niczyłem w pogrzebie Marszałka Piłsudskiego, ale moi obydwój rodzice pochodzili z Kresów. Tak się złożyło, że nie znając siebie, obydwój kończyli szkoły w Mińsku, czyli obecnej stolicy Białorusi. Wówczas Mińsk był bardzo spolonizowanym miastem. I z tamtych terenów obie moje rodziny – i matki i ojca – się wywodziły. Moja mama po zakończeniu I wojny światowej znalazła się w Warszawie, ale jeździła na Kresy do swoich koleżanek i członków dalszej rodziny, którzy po I wojnie przenieśli się już na teren Polski. Tam poznała mojego ojca. Na stałe moi rodzice osiedlili się na Kresach po moim urodzeniu. Zamieszkali w naszej rodowej miejscowości, czyli w miasteczku Nieśwież. Była tam słynna ordynacja Radziwiłłów, w której jeszcze w końcu XIX wieku pracował mój dziad, jako specjalista – prawnik samorządowy. Mój dziadek był powstańcem styczniowym na tamtych terenach; i choć co prawda on i cała grupa zostali ułaskawieni przez cara i nie zesłano ich na Sybir, to nie mogli oni podjąć żadnej pracy państwowej, więc musieli pracować w prywatnych czy samorządowych formach. Niestety jeszcze przed I wojną światową mój dziadek zmarł. Wtedy mój ojciec, jako najstarszy z rodzeństwa, wziął na swoje barki odpowiedzialność za resztę rodziny i zaczął zarobkować. Ukończył tylko szkołę miernictwa i do końca życia pracował jako mierniczy. Jeszcze przed wybuchem II wojny światowej, na krótko, mój ojciec przeniósł się do Baranowicz, czyli największego miasta w ówczesnym województwie nowogródzkim. Wtedy województwo było w Nowogródku, ale wydziały miernicze czy agrotechniczne mieściły się w Baranowiczach. Tam też zastała nas wojna, ale już w czasie jej trwania udało nam się wrócić do Nieświeża, gdzie mieszkaliśmy do jej zakończenia. W czasie wojny ja coś szczęśliwie uniknęliśmy wyjazdu na Sybir. Chociaż inne rodziny z naszego domu zostały wysłane na Sybir, m.in. rodzina Smoliczów. Był tam m.in. chłopiec w moim wieku, Jurek Smolicz, którego ojciec był oficerem, a bolszewicy wysyłali najpierw rodziny zmilitaryzowane, tzn. wojskowych, policjantów, strażników miejskich czy strażników straży pogranicznej. Później Jurek Smolicz, który już od paru lat nie żyje, znalazł się w Australii. Tam zajmował się kulturą mniejszości narodowych, m.in. tych Polaków, którzy podobnie jak on z Armią Andersa przeszli na Bliski Wschód.

Pamiętam wojnę z czasów dzieciństwa. W 1939 roku latały nad nami samoloty niemieckie, a następnego dnia tereny nasze zostały zajęte przez Armię Czerwoną. Robiło to na mnie jakieś dziwne wrażenie, nie rozumiałem tego. Zostaliśmy na Kresach po podziale Polski. Zostaliśmy jak gdyby pod nowym zaborem rosyjskim (radzieckim). Tam właśnie trafiłem do szkoły. Zacząłem swoją edukację szkolną w Baranowiczach, które zlokalizowane są mniej więcej 20 km od słynnego Zaosia. Kiedy Mickiewicz mieszkał

w Zaosiu z rodzicami, to jeszcze Baranowicz nie było, miasto jeszcze nie powstało. Wtedy największym ośrodkiem miejskim na tym terenie była słynna miejscowość Mysz. Na przykład Zan, przyjaciel Mickiewicza, pochodził właśnie z Myszy (mówiono o nim: Tomasz z Myszy). W naszych czasach, na tamtych terenach tradycje Mickiewicza były bardzo silne. Ja oczywiście chodziłem do szkoły rosyjskiej, bo chociaż to była Białoruś, to obowiązywała zasada uczęszczania do szkół z językiem rosyjskim. Tylko półtora roku uczyłem się po białorusku, kiedy tamte tereny zostały zajęte przez wojska niemieckie. Niemcy utrzymywali szkolnictwo białoruskie i mam nawet jakieś świadectwa w języku białoruskim z tamtych lat. Ale później, gdy na tamten teren ponownie przyszedli Rosjanie, to znów nastąpiła edukacja rosyjska. Wprowadzono pełną rusyfikację, taką z zakazem uczenia i rozmawiania po polsku.

Mama zalecała mi czytanie i uczenie się na pamięć wierszy Mickiewicza...

Moja mama była nauczycielką i powadziła tajne komplety, tajne nauczanie języka polskiego, kultury polskiej. Pamiętam, że mama miała tom pism Mickiewicza, wydany przed wojną pod redakcją Profesora Piniego. I z tego tomu zalecała mi czytanie i uczenie się na pamięć wierszy poety oraz innych tekstów, np. fragmentów tekstów *Pana Tadeusza* czy *Grażyny*. Już jako repatrianci w grudniu w 1945 roku przyjechaliśmy na teren centralnej Polski. Moi rodzice osiedli w Poznaniu, gdzie jeszcze od czasów przedwojennych, mieszkała siostra mojej matki. W Poznaniu właśnie poszedłem do szkoły, po raz pierwszy do szkoły polskiej – do klasy szóstej. Miałem wówczas tylko jedenaście lat, bo ja trochę wcześniej zacząłem chodzić do szkoły. Moja mama była osobą ambitną i chciała, żebym uczył się jak najlepiej. To mi nie do końca wychodziło, ale przynajmniej dbała o to, żebym uczęszczał do najlepszych szkół. Zatem po ukończeniu siódmej klasy szkoły powszechnej w Poznaniu mamie udało się zorganizować dla mnie przyjęcie do Gimnazjum Marcinkowskiego. Ukończyłem szkołę Marcinkowskiego i jeszcze udało mi się załapać na ostatnią klasę poprzedniego systemu szkolnego, to była klasa tzw. wyrównawcza. Ale niestety ta klasa wyrównawcza później już nie poszła starym tokiem nauczania i weszła na tzw. jedenastolatkę. Tym samym ja znalazłem się w klasie dziewiątej, bo po klasie wyrównawczej była klasa dziewiąta. Zdawałem pierwszą maturę jedenastolatki w poznańskim Liceum Karola

Marcinkowskiego. To właśnie w tej szkole doświadczyłem prawdziwej polskiej edukacji.

Maturę zdawałem w 1951 roku. Miałem wówczas szesnaście lat i parę miesięcy. Oczywiście musiałem pisać specjalne pismo do Ministerstwa z prośbą o zezwolenie na zdawanie matury, ale wyrażono zgodę i zdałem ją. Reforma szkolna, która mnie objęła, spowodowała, że w mojej klasie, będącej jedną z pięciu jedenastych klas maturalnych w szkole, było nas przynajmniej sześciu takich chłopców (była to jeszcze wtedy tylko męska szkoła), którzy skorzystali na takiej komasacji szkolnictwa i na tworzeniu nowego systemu, a urodzeni byli w 1934 roku, a nawet jeden w 1935 roku. Razem z nami do klasy uczęszczali też koledzy, którzy mieli po dwadzieścia parę lat. Zatem rozpiętość wiekowa była bardzo duża. Starsi koledzy oczywiście wprowadzali nas w tajniki prawie dorosłego życia. Ten czas poznańskiej edukacji był dla mnie bardzo ważny i bardzo wartościowy, ponieważ otrzymałem tam podstawy do dalszego studiowania. Ale na studia wybrałem się już do Warszawy, gdzie po ich ukończeniu założyłem również zatrudnienie. Do dzisiaj mieszkam w Warszawie, w której kiedyś, przed laty, się urodziłem, i zapewne już tutaj zostanę.

Nauczyciele potrafią rozmawiać w swoim przedmiocie...

Moja matka była nauczycielką, moja babcia z kolei była domową nauczycielką, jak Maria Konopnicka. Mama była nauczycielką w szkołach warszawskich, była nawet kierowniczką doksztalającej szkoły dla dziewcząt. Mama uczyła przedmiotów przyrodniczych: chemii, przyrody. Ale była również bardzo dobrze przygotowana z języków obcych i uczyła w czasie okupacji języka niemieckiego i francuskiego. Mama, choć sama ukończyła szkoły w języku rosyjskim, to rosyjskiego nie lubiła. To mama właśnie dbała o nasz, to znaczy mój i mojej siostry, rozwój kulturalny. Czytaliśmy dzieła Mickiewicza. Czytaliśmy inne teksty polskie. I stąd też moja dość dobra znajomość polskiej poezji, polskiej literatury, zwłaszcza autorstwa ludzi z tamtego terenu. Wszak zacząłem chodzić do szkoły w Baranowiczach, a było to jak wcześniej wspominałem 20 km od Zaosia, gdzie urodził się Mickiewicz i gdzie jest teraz (i przed wojną już było) muzeum jego pamięci, które zostało odbudowane, gdyż folwarki Zaosia i Tuhanowicz zostały w czasie wojny całkowicie zniszczone, podobnie jak zniszczone zostało muzeum Mickiewicza w Nowogródku (także otwarte przed wojną). Na tamtych terenach tradycja Mickiewicza, jego utworów, jego wierszy, i nie tylko Mickiewicza, ale także Sy-

rokomli, który tam właśnie w Nieświeżu też bywał, były bardzo popularne i cenione. Gdy udawało mi się w szkole rosyjskiej dostać jakieś dobre oceny z rosyjskiego, bo miałem tam niezłych nauczycieli, to mama dla wyrównania, a właściwie tak jakby za karę, zadawała mi jakieś teksty polskie, kazała, abym nauczył się jakiegoś wiersza Mickiewicza. Bardzo dobrze pamiętam, jak przyswajałem sobie wszystkie ballady Mickiewicza i jego bajki, które tłumaczył z La Fontaine'a. To mi się później przydało w czasie nauki w liceum w Poznaniu i w czasie studiów. A dlaczego wybrałem polonistykę? Niedawno pisałem pracę o Profesorze Kamińskim, którego losy były znacznie ciekawsze i bardziej burzliwe od moich, ale podobne... On też chodził do szkół na Ukrainie, a później przeniósł się do Warszawy i po pierwszym okresie nauczania otrzymał poprawkę z języka polskiego. Bardzo się tego wstydził i nieczęsto o tym wspominał; kiedyś mi o tym powiedział. Mówił, że czuł się Polakiem, chciał być pisarzem, chciał tworzyć, a robił błędy, bo nauczanie języka polskiego w Humanium, gdzie przebywał, było trochę inne i na niższym poziomie niż warszawskie. Tak samo było ze mną. Musiałem więcej pracy przykładac do języka polskiego, bo ja miałem zdolności matematyczne, zdolności techniczne. Nauczyciele uważali, że jestem w klasie jednym z lepszych matematyków i zwykle miałem bardzo dobre oceny z matematyki. To było szokiem dla moich nauczycieli, gdy się dowiedzieli, że ja wybrałem studia polonistyczne. Ale to już była zasługa moich nauczycieli, którzy w Liceum Marcinkowskiego uczyli mnie polskiego. Była taka Pani Profesor, którą do dziś pamiętam i wysoko sobie cenię. To była Pani Profesor Maria Szymańska, która bardzo dbała o naszą klasę, o nasz poziom. Zabierała nas do teatrów i muzeów. Dzięki niej byłem na przykład w Poznaniu na dość osobliwej wystawie. Było to wystawienie w Muzeum Poznańskim rękopisu *Pana Tadeusza*. Ten rękopis znajduje się oczywiście we Wrocławiu w Ossolineum, ale w tym czasie zrobiono jego poznańską ekspozycję. Pamiętam jeszcze inną sytuację, gdy Pani Profesor Szymańska zaprosiła nas (właściwie zaprowadziła nas) na odczyt Profesora Kleinera – wybitnego autora monografii poświęconych Mickiewiczowi, Słowackiemu czy innym wielkim polskim poetom. Odczyt ten odbywał się w słynnej Auli Uniwersyteckiej, wybudowanej jeszcze przez Niemców, którzy planując otworzyć w Poznaniu szkołę wyższą, coś w rodzaju uniwersytetu, zaczęli jej budowę właśnie od auli, mogącej spełniać funkcje wystawienniczo-popularyzatorsko-rekreacyjne. I właśnie tam Profesor Kleiner zapoznawał nas z osobą i twórczością Słowackiego. Później, w jedenastej klasie, Pani Szymańska od nas odeszła, ale trafił się nam Profesor Julian Dąbrowa, który nauczył nas techniki pisania, techniki odpowiadania i techniki dyskusowania. Jemu też dużo zawdzięczam. I tak to się

stało, że ja, mający skłonności do przedmiotów ścisłych i zdolności matematyczno-fizyczne, zainteresowałem się językiem polskim, literaturą, historią. Na własnym przykładzie widzę wyraźne wpływy nauczycieli na losy ucznia, losy absolwenta. Jestem przekonany, że jeśli nauczyciele mają odpowiedni stosunek do swoich uczniów, swoich wychowanków, właściwie nimi kierują, zachęcają, potrafią ich rozmawiać w swoim przedmiocie, w swoich treściach, w swoich wartościach i celach kształcenia, to mogą wpłynąć na dokonywany przez nich wybór kierunku studiów. W moim przypadku tak właśnie było! I nie ja jeden poszedłem tą drogą. Paru moich kolegów też studiowało polonistykę, studiowali w Poznaniu i we Wrocławiu, niektórzy także za granicą. Chociażby taki Wojtek Skalmowski, który stał się jednym z niewielu autorytetów w dziedzinie filologii orientalistycznej. Pracował on w Leuven w Belgii. Zmarł trzy lata temu. Niestety koledzy z mojego rocznika, z moich klas, z moich lat studiów, już powoli odchodzą. Wojtek był jednym z wybitnych znawców języka i literatury perskiej i hinduskiej – z tego był znany i ceniony. Pisał również wspomnienia z okresu dorastania, gdyż absolwenci Liceum Marcinkowskiego co jakiś czas się zbierają, organizują swoje zjazdy. Jest nas co prawda coraz mniej, ale za to coraz większe, silniejsze mamy więzi. Jesteśmy przekonani, że trzeba się spotykać, póki jest się z kim spotkać.

Na studiach polonistycznych w Warszawie trafiłem na znakomitych nauczycieli. Wybierając studia, wcale nie myślałem, że będę nauczycielem, że będę uczył, chciałem tylko studiować. Ale trafiłem na Profesorów takich jak Wieczorkiewicz, który był naszym Dziekanem, jak Profesor Sawrymowicz, jak Profesor Lausz czy inni profesorowie. Później dopuszczano nas do spotkań z Profesorem Doroszewskim czy Profesorem Krzyżanowskim. I zaczęliśmy tak nasiąkać polonistyką. Zadawaliśmy sobie pytanie, co może robić absolwent filologii polskiej. Zrozumieliśmy, że może być pisarzem. Też miałem takie pomysły czy takie odczucia, że może będę pisarzem. No ale ja-koś talentu w tym kierunku specjalnego nie miałem, a poza tym nie miałem też i czasu odpowiedniego, bo trzeba było się jakoś w Warszawie utrzymać. Miałem ubogich rodziców, przetrzebionych w dodatku przez wojnę, przez okupację, przez fakt, że jako repatrianci musieliśmy zostawić prawie wszystko co mieliśmy, co wcześniejsze pokolenia zgromadziły w Nieświeżu. Rozwijaliśmy nasze życie, opierając się na własnej pracy. Ja udzielałem korepetycji w Warszawie. Pracowałem na zleceniach w redakcjach, na przykład w redakcji czasopisma „Świat Młodych”. Oczywiście nie pisałem tekstów, tylko zatrudniano mnie i innym moich kolegów w dziale listów i korespondencji. Odpowiadaliśmy na listy osób, uczniów, młodzieży, która pisała do czasopisma. My musieliśmy odpowiadać w imieniu redakcji. Była to jakaś forma zarobko-

wania. Ale bardziej doświadczeni redaktorzy strofowali nas, straszyli. Pamiętam, że takim naszym przewodnikiem był kolega ze studiów, słynny dziennikarz „Świata Młodych”, później pisarz – Janusz Domagalik. On był starszy od nas o kilka lat, niestety już nie żyje. Przyszedł do nas na studia dzienne z polonistyki i był już zaawansowanym działaczem młodzieżowym i dziennikarzem, więc trochę nam „patronował” i ułatwiał kontakty dziennikarskie.

Zacząłem „wchodzić” w pedagogikę...

Po skończeniu studiów zostałem w Warszawie, właściwie pod Warszawą: w Rembertowie. Zacząłem pracować w liceum pedagogicznym. Tam zacząłem kształcić przyszłych nauczycieli. Były tam osoby z terenów mi bliskich, z okolic siedleckiego, węgrowskiego, z powiatu sokołowskiego, czyli znad granicy, znad Buga. Niektóre osoby mówiły wschodnim dialektem, ale starały się być poprawnymi w swoich wypowiedziach. Pracując w szkole, zacząłem się interesować czymś, co można by nazwać propedeutyczną twórczością, pedagogiczną twórczością. Opisywałem swoje lekcje, które uznałem za udane, swoje pomysły, które mogłyby, moim zdaniem, wzbogacić program nauczania. W ten sposób zacząłem pisywać do „Polonistyki”, gdzie pracowali moi profesorowie, jak Bronisław Wieczorkiewicz czy Jan Boski, oraz do innych czasopism, do „Nowej Szkoły”, „Głosu Nauczycielskiego”. Miałem kłopoty, ponieważ poloniści nie byli docenieni przez władze uczelniane i nie można było się rozwinąć, wejść na jakieś seminarium doktorskie. Pozostała mi pedagogika. Moim dziekanem, profesorem na polonistyce był Bronisław Wieczorkiewicz, znakomity gramatyk, znakomity metodyk nauczania gramatyki. Był także profesor Karol Lausz, znakomity specjalista od literatury. Idąc śladem moich nauczycieli, zaczynałem się rozglądać za teorią nauczania, za dydaktyką. Wcześniej teorię nauczania uprawiali znani poloniści, między innymi profesor Bogdan Nawroczyński – znakomity polonista, czy profesor Ryszard Wroczyński, profesor Bogdan Suchodolski (doktor polonistyki) czy inni. Polonistów było dość dużo w pedagogice, chociażby jeden z moich profesorów – Stanisław Jedlewski, polonista ze Lwowa, który później działał w pedagogice i pedagogice specjalnej.

Zacząłem „wchodzić” w pedagogikę. Zaczynając od metodyki językowej i literackiej, przez dydaktykę. Pracowałem zarówno w szkołach dziennych, jak i wieczorowych, więc tę rzeczywistość edukacyjną i organizacyjną szkoły analizowałem i starałem się o tym pisać. Zwłaszcza o nauczaniu dorosłych. Napisałem kiedyś artykuł o tym, jak prowadzić lekcje i jak nauczać

ortografii w liceum dla dorosłych. Później ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że jest to pierwsza moja publikacja, bo w książce o nauczaniu języka polskiego w szkołach Profesor Kijas (znany docent z Krakowa) przedrukował ten mój artykuł, który się ukazał w czasopiśmie „Polonistyka”. Byłem tym zaskoczony, ale i bardzo dumny, że stałem się autorem książkowym, że w książkach ukazują się moje teksty. Ponieważ książki sobie od dawna ceniłem, toteż starałem się publikować w czasopiśmie i w książkach. Do dzisiaj się tych książek trochę nzbierało i artykułów w pracach zbiorowych również. Pewnie moi uczniowie i uczennice lepiej wiedzą, ile tych publikacji jest i gdzie się ukazały.

Lubiłem turystykę, lubiłem podróżowanie...

Zawsze lubiłem turystykę, lubiłem podróżowanie. Jeszcze jako dziecko z rodzicami jeździłem do Wilna. Moja młodsza siostra tam się urodziła. Także Wilno trudno powiedzieć, że znałem, ale bywałem tam jeszcze przed wojną. Rodzice planowali, że gdy skończę szkołę, prawdopodobnie będę studiował w Wilnie. W pewnym stopniu się to zrealizowało, bo po latach zaproponowano mi pracę na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. A wiadomo, że Uniwersytet w Toruniu jest jak gdyby kontynuacją Uniwersytetu Stefana Batorego z Wilna, więc w jakiś sposób do tego Wilna dotarłem. Oczywiście bywałem w Wilnie także później. Opisywałem pamiątki wileńskie, muzea, przede wszystkim muzea Mickiewicza. Zainteresowało mnie muzealnictwo. Historia interesowała mnie zawsze, chociaż jej nie studiowałem, ale bardzo ją lubiłem. Dużo czytałem z historii wybitnych osób. Interesowało mnie także to, co po tych wybitnych osobach pozostało: pamiątki, ich wspomnienia, wspomnienia o nich, pamiątki, także ekspozycje muzealne, muzea. Tak się to zaczęło. Moja żona wywodzi się z okolic Sandomierza. Gdy jeździliśmy do jej rodzinnych stron, po drodze mijaliśmy Czarnolas i inne miejsca, w których działał Kochanowski. Zaczęliśmy najpierw pisać o pamiątkach Kochanowskiego, później o pamiątkach Mickiewicza. Bywaliśmy w Wilnie, w Nowogródku, dotarliśmy nawet do Paryża i Konstantynopola, gdzie znajduje się muzeum Mickiewicza w domu, w którym poeta zmarł. Niestety jest to już dom przebudowany w XIX wieku, ale zachowana jest tam krypta, w której stała trumna Mickiewicza i izba, w której skończył życie. To zbieranie pamiątek spowodowało, że zainteresowałem się muzealnictwem, pamiątnikarstwem, biografistyką i zacząłem pisać, po części sam, po części z moją żoną, czasem ze współpracownikami, doktorantami czy dokto-

rami. Pisaliśmy nie tylko o poetach, ale też o pedagogach, między innymi o profesorze Sośnickim. Przed laty, kiedy pracowałem w Instytucie Pedagogiki, obecnym Instytucie Badań Edukacyjnych, profesor Kazimierz Sośnicki, już wówczas staruszek, przyjeżdżał raz w miesiącu z Gdańska udzielać konsultacji pracownikom. Ówczesny dyrektor Instytutu, profesor Okoń, który był moim promotorem pracy doktorskiej, zalecił nam, żeby korzystać z tego przyjazdu i dużo rozmawiać z profesorem Sośnickim. Więc ja z tego korzystałem. Później, kiedy pracowałem w Toruniu, zorganizowałem konferencję poświęconą Sośnickiemu, przygotowałem prace biograficzne o nim. Zamierzam wznowić teksty i dzieła Sośnickiego, jako te, które są najbardziej wartościowe, cenne i trwałe. W kontekście dzisiejszych, powiedziałbym nawet „wygłupów” dydaktycznych, należy wracać do czegoś, co jest wartościowe. Takie właśnie są prace zarówno Nawroczyńskiego, jak i Sośnickiego, od których wychodzę w swoich opracowaniach dydaktycznych. Sośnicki był genialnym dydaktykiem, zwłaszcza jeśli chodzi o treści ścisłe. Był on logikiem, matematykiem, wykładał matematykę na uniwersytecie toruńskim, pisał podręczniki do logiki. Nawroczyński był teoretykiem kultury, pedagogiem kultury i polonistą. Te dwa filary przeszłości stanowiły o moim rozwoju. Jeżeli przyjrzymy się Sośnickiemu i Nawroczyńskiemu, to zauważymy, że byli oni nie tylko dydaktykami, ale pisali teksty historyczne i z obszaru pedagogiki porównawczej. Nawroczyński jest traktowany w Polsce przecież jako jeden z twórców pedagogiki porównawczej. Jego szkice o pedagogice porównawczej są bardzo wartościowe i cenione, a jego mało znana książeczka o szkolnictwie francuskim jest znakomitym przykładem opracowania systemu oświatowego innego kraju.

Ja, który znałem się trochę na edukacji dorosłych, starałem się poznać polską edukację dorosłych. Napisałem kilka książek na temat szkolnictwa dla dorosłych w Polsce, ale także o tym, jak edukacja dorosłych wygląda za granicą, jak rozwija się w innych krajach. A ponieważ ona rozwija się zawsze na tle ogólnego systemu edukacyjnego, toteż ten ogólny system poznawałem i zachęcałem do tego moich doktorów, współpracowników, przyjaciół, którzy również podejmowali te zagadnienia. Udało nam się wspólnie wydać kilka tomów prac zbiorowych na temat edukacji dorosłych. Na przykład Hania Solarczyk bardzo dobrze opracowała system rozbudowanej niemieckiej edukacji dorosłych. Inni moi współpracownicy opisywali między innymi edukację ustawiczną we Francji, Rosji. Sam także pisałem o rosyjskiej edukacji dorosłych. Znajomość języka i pedagogiki rosyjskiej była dla mnie nie tylko ułatwieniem, ale także wskazaniem, w jakim kierunku mógłbym się rozwijać.

Chęć pełnienia misji edukacyjnej czy oświatowej...

Byłem nauczycielem warszawskich szkół wieczorowych i nauczycielem szkół wyższych, które pracowały głównie w systemie zaocznym, w Kielcach, Toruniu i Płocku. Stąd też akademicka edukacja dorosłych stała się kolejnym obszarem, który poznaję i o którym piszę. Oczywiście, jeśli ktoś zajmuje się edukacją dorosłych, musi dojść do edukacji ustawicznej, do tego, czym ona jest, do jej zasad i idei. Edukacja ustawiczna jest edukacją całościową człowieka i szkoła podstawowa, szkoła średnia i wyższa odgrywają w tej edukacji i w losach indywidualnych ludzi bardzo duże znaczenie. Jeśli ktoś uważa, że edukacja dorosłych jest edukacją ustawiczną, to bardzo upraszcza to pojęcie i odrywa tę ważną ideę edukacji ustawicznej od szkolnictwa podstawowego i średniego, które często zamyka się w tradycyjnych formach, metodach, działaniach i które nie rozwija działań poznawczych tak, jak powinny być one rozwinięte, aby człowiek mógł się przez całe życie uczyć. Nie dlatego, że jest niedouczony, czy ma jakieś braki, tylko dlatego, że człowiek nieustająco się rozwija i potrzebuje coraz więcej nowych idei, wartości, wiedzy, umiejętności. Poza tym świat, w którym żyje, też się rozwija i do tego świata też trzeba się jakoś przystosować, poznać go, starać się go zrozumieć.

To, że zawsze pracowałem w kilku miejscach, wynikało z dwóch powodów. Po pierwsze, pracowałem dodatkowo, dlatego że jako nauczyciel warszawski, tak jak każdy inny nauczyciel, zarabiałem mało. Po ślubie z żoną musieliśmy sami zacząć się dorabiać. Moi rodzice pozostali w Poznaniu. Tam też zostało nasze mieszkanie. Rodzice żony pozostali w Sandomierzu. My jako absolwenci, świeżo po zakończeniu studiów, zaczęliśmy tworzyć swój dom w Warszawie. Aby stworzyć dom, trzeba mieć na to środki. Pensja nauczycielska nie zawsze wystarczała, stąd też musiała być pomnażana przez inne dochody. Poszukiwałem dodatkowej pracy dla zdobycia środków, a następnie szukałem dodatkowej pracy, aby prowadzić zajęcia z innych dziedzin (przedmiotów) niż te, do których byłem przygotowany. Jako młody nauczyciel, polonista, przygotowany do pracy w liceum pedagogicznym w Rembertowie, ale niemający ukończonych dwudziestu lat, dostałem tylko jedną klasę. Ponieważ inny nauczyciel dostał większą liczbę godzin lekcyjnych z języka polskiego, mnie dano zajęcia z historii. Lubiłem ten przedmiot, więc historii starożytnej uczyłem tam przez kilka lat. Dlatego, gdy zaproponowano mi, abym uczył w szkole wieczorowej historii, chętnie się tego podjąłem. Chciałem też uczyć języka polskiego. W szkole dla dorosłych nauczanie nie jest łatwe, stąd też musiałem się do tego dobrze przygotowywać. W tym celu moje dodatkowe studia nad dydaktyką, psychologią poznawczą, meto-

dykami nauczania i uczenia się do tego mi się przydały. Dlatego podjąłem pracę w Kielcach, gdzie moi koledzy z Instytutu Pedagogiki byli rektorami i dziekanami. Pracowałem tam przez kilka lat. W Toruniu na uniwersytecie profesor Roman Schulz odbudowywał Instytut Pedagogiki. Zaproponował mi, abym tam przyszedł i mu w tym pomagał. W Toruniu mogłem zająć się dydaktyką oraz kontynuować prace i poglądy Kazimierza Sośnickiego. Później przyszedłem do Płocka, gdzie tworzono nowy ośrodek. W Płocku powierzono mi organizację nowego wydziału. Zaprosiłem do współpracy zarówno moich kolegów, jak i moich doktorantów, którzy nadal świetnie sobie radzą, pracując w Płocku.

Nasza wspólna praca w Płocku była na tyle wartościowa i ciekawa, że w 2005 roku, czyli 10 lat temu, 10 lat po rozpoczęciu działalności, w rankingu uczelni, który wtedy prowadzono, szkoła płocka została uznana i zdobyła pierwsze miejsce w kraju wśród uczelni niepaństwowych pedagogicznych, a więc nasze starania przyniosły jakąś wartość nie tylko nam, ale także całemu środowisku, a przede wszystkim rzeszom naszych absolwentów. Do dzisiaj udało nam się wypromować około 10 tysięcy absolwentów: licencjatów i magistrów, którzy zasilili swoimi kompetencjami, swoją wiedzą, różne placówki oświatowe, nie tylko w Płocku i nie tylko na Mazowszu. Pamiętam, że mieliśmy studentów z Gdyni i z Podhala i ktoś przyjeżdżał z Chełma... A więc praca w Szkole Włodkowica to nie było tylko szukanie jakiegoś dodatkowego zajęcia czy innej dziedziny aktywności, ale także chęć pełnienia jakiejś misji edukacyjnej czy oświatowej, która nam przyświecała, a i kontynuacji tego, co kiedyś robiła w czasie ostatniej wojny, okupacji moja matka. Moja mama jest mi znana jeszcze z tego, że w okresie I wojny światowej, już jako absolwentka szkoły średniej w Mińsku, pracowała w Klinikach (miejscowość na terenie wschodniej Białorusi), gdzie było bardzo dużo Polaków i była tam szkoła polska. W tej właśnie szkole moja mama rozpoczęła swoją działalność pedagogiczną, a osobą, która nadzorowała tę szkołę, był znany i dzisiaj, coraz częściej brany za przykład do naśladowania, słynny ksiądz Skorupka. Ten Skorupka, który w 1920 roku zginął pod Ossowem, idąc z młodzieżą akademicką, jako akademicki duchowny, na spotkanie z Armią Czerwoną. Właśnie z tym księdzem Skorupką pracowała moja mama. On był katechetą w tej szkole i organizował dla nauczycielek i dla ludności (jeszcze w czasie wojny) możliwość repatriacji do Polski. Wtedy właśnie, z księdzem Skorupką, moja mama przyjechała do Warszawy i tu osiadła, a inne jej koleżanki osiadły w Baranowiczach czy Nieświeżu; później kontaktowała się z nimi i w ten sposób poznała mojego ojca, który co prawda nie mieszkał w Warszawie, ale był tam znany, ceniony i lubiany. Stąd też jakoś to zaowo-

cowało małżeństwem moich rodziców, a później potrzebą ucieczki z tamtego terenu, ponieważ groził nam wywóz na Sybir. Już byliśmy na listach, więc gdyby nie wybuch wojny z Niemcami czy napaść niemiecka na Związek Radziecki, to pewnie pojechalibyśmy, jak to się mówiło, na „białe niedźwiedzie”, czyli na Sybir.

Trudno powiedzieć, które prace są szczególne...

Moja praca dydaktyczna i to, co piszę, tworzą pewną całość... Napisałem kiedyś jakąś propozycję dydaktyki, czy to dydaktyki dla dorosłych, czy dydaktyki dla nauczycieli, czy moją ostatnią pracę *Niepokój o dydaktykę*. Z pedagogiką, dydaktyką jest tak, jak z uprawą. Rolnik stosuje płodozmian, w jednych latach na określonych polach oczekuje różnych plonów, zboża, a później roślin okopowych, następnie pastewnych, a później jeszcze czegoś. Wszystko jest potrzebne, żeby to gospodarstwo było samowystarczalne i żeby prowadziło do ogólnego rozwoju. Tak samo w pracy i w badaniach. Potrzebna jest i działalność typu nauczającego i egzaminującego oraz taka, która będzie potrzebna dla własnego zadowolenia. Jak jadę do Konstantynopola i opisuję to, co tam przeżywam w Muzeum Mickiewicza, to rzadko mam okazję to wykorzystać [...]. To nie łączy się bezpośrednio z moją pracą, nie jestem popularizatorem stolicy państwa tureckiego, a właściwie największego tureckiego miasta, bo stolicą jest Ankara, natomiast to mi jest do czegoś potrzebne, to tak, jak bym przeczytał jakąś ciekawą pracę, która mnie samego podbudowuje... No i teraz trudno jest powiedzieć, które prace są szczególne... Parę razy wyjeżdżałem do Szwecji. Później udało mi się napisać książkę o systemie edukacji w Szwecji, którą nawet specjaliści od szwedzkiej edukacji działający w Polsce, którzy nie są mi zbyt życzliwi, to jednak o tej pracy pozytywnie się wyrażali. Nie prowadzę zajęć o edukacji w Szwecji, nie jest mi to potrzebne do mojego warsztatu. Natomiast jest potrzebne do mojego własnego rozwoju, do tego, że mogę się do czegoś odnieść, do czegoś porównać czy wskazać. Trudno jest wskazać, co polski system oświatowy mógłby ze Szwecji wyciągnąć czy wykorzystać, bo trzeba by cały nasz system całkowicie przebudowywać, żeby był taki, jak szwedzki, i tego się nie da zrobić. A ktoś, kto to zaproponuje, będzie uważany za szaleńca, więc ja nie chcę być szaleńcem. Natomiast chcę wiedzieć, jak to Szwedzi robią i jak w porządnym kraju wygląda porządny system edukacji, który ma oczywiście swoje braki, ale ma też swoje osiągnięcia. To dla mnie jest właśnie pożyteczne. Nie chciałbym być kimś takim, kto się nauczył kilku języków obcych, a w żadnym z nich

nie będzie miał nic do powiedzenia. Najgorsze jest to, że znam kilka systemów oświatowych, które zbadałem: niemiecki, szwedzki i rosyjski, jeszcze kiedyś rumuński, i okazuje się, że nic o żadnym z nich nie mogę powiedzieć. One wszystkie razem tworzą pewną całość i ta całość wyraża się w moich poglądach, kontaktach i upowszechnieniach i tam to w jakiś sposób zaczyna owocować, a mnie sprawia to niewątpliwą satysfakcję. Dlatego bardzo lubię podróżować, przy okazji zwiedzam muzea, zabytki, tereny, poznaję egzotykę innych krajów, do których uda mi się dotrzeć.

Mogę sięgnąć tutaj do znanego specjalisty edukacji ustawicznej Kidda, który mówił, że edukacja ustawiczna odbywa się w pionie, poziomie i w głąb. Zapytany, która jest najważniejsza, powiedział, że wszystkie. Nie może być edukacji w pionie bez edukacji w głąb. Tak samo edukacja jako forma działalności zawodowej, a jednocześnie naukowej z jakąś refleksją i z jakimś wykorzystaniem własnych doświadczeń dla opracowań teoretycznych z jakimś sensownymi wnioskami, nie jest możliwa, jeśli ktoś pracuje tylko na uczelni wyższej. Gdy pracowałem w instytucie u profesora Okonia, a miałem już wtedy za sobą kilka lat pracy nauczycielskiej, odczułem brak kontaktu z rzeczywistością dydaktyczną. Książki, katalogi, raporty, nawet wyjazdy zagraniczne nie wystarczały mi. Potrzebny był mi jakiś „łącznik”. Stąd też uzyskałem zgodę dyrektora, profesora Okonia, na pracę w szkołach, ale nie dziennych, tylko wieczorowych i zaocznych. Tu miałem właśnie możliwość stykania się z żywym procesem kształcenia, wychowania i z jego trudnościami. To może nawet dobrze, ponieważ w szkole wieczorowej środowisko uczniowskie było wówczas bardzo trudne. Trzeba było się do tego dostosować, a jednocześnie starać się jakoś wpływać na własny rozwój.

Czytajcie Sośnickiego, czytajcie Nawroczyńskiego, czytajcie Okonia...

Kiedy zaczynałem pracę, to wówczas nasi pedagodzy, tacy jak Sośnicki, Nawroczyński, Kamiński i inni, byli wyrzucani z uniwersytetów. Zabraniano im publikować, prowadzić wykłady. Taki był stan polskiej pedagogiki. Wówczas ich miejsce zajmowali krzykacze, którzy mieli „dużo” do powiedzenia i prowadzili wykłady, których myśmy ledwo wysłuchiwali. Słuchałem wykładów dydaktyków, którzy mówili, że największym i najmądrzejszym dydaktykiem świata jest marszałek Stalin, bo on tak właśnie w swojej dialektyce, tak ładnie wszystko to ujął i tak ładnie to wszystko wygląda (wtedy ukazała się słynna praca Stalina pt. *Marksizm a zagadnienia językoznawstwa*,

o tym jak marksizm traktuje język i językoznawstwo). Niektórzy moi profesorowie, między innymi nieżyjący już profesor Jan Tokarski, stwierdzili, że to jest nic wielkiego, bo to są znane już od dawna poglądy w językoznawstwie. Skutek był taki, że mój profesor (wtedy był docentem) musiał za to zapłacić. Ja natomiast, mimo różnych kłopotów z awansem naukowym („tu” i „tam” mnie przetrzymywano), wcześniej zostałem profesorem niż ten, który był moim nauczycielem, a odważył się skrytykować system poglądów językowych głoszonych przez Stalina. Dzisiaj się już o tym nie mówi, bo to po pierwsze wstyd, po drugie wielu ludzi udało się od tego odciągnąć, otrząsnęli się sami, myślą inaczej. Kiedy wrócił z Syberii słynny historyk współczesnego wychowania Leon Chmaj (były prorektor Uniwersytetu Wileńskiego), to już nic więcej nie mógł napisać, tylko przygotował nowe wydanie tej swojej pedagogiki XX wieku. W pedagogice zaczęła się jakaś przebudowa i odbudowa... Niestety tak jak w polityce zastosowano taką grubą kreskę, że nieważne, co kto robił przedtem, ale ważne jest, co robi teraz, za kim głosuje... Tak samo jest w pedagogice. Okazuje się, że nieważne, że ktoś kiedyś kogoś niszczył i głosił głupstwa, ale ważne, że teraz jest „za” i swój głos oddaje na jedynie słuszną orientację polityczną, elektoratową... Akurat tak się złożyło, że parę prac musiałem napisać (chciałem napisać) o osobach szczególnie skrzywdzonych przez innych. Pisałem pracę o Aleksandrze Kamińskim, Kazimierzu Sośnickim, kardynale Stefanie Wyszyńskim, generał Elżbiecie Zawackiej... Studiowałem pracę o profesor Halinie Szwarc, o ludziach przesładowanych, krzywdzonych, odsuwanych, poniewieranych...

Dawniej mieliśmy pedagogów, takich jak Nawroczyński czy Sośnicki, którzy widzieli całość wychowania i całość refleksji nad tym wychowaniem. Dzisiaj okazuje się, że ludzie są specjalistami od jednej tylko rzeczy (tak jak lekarze). To jest przykre... Dlatego młodym, rozpoczynającym pracę nauczycielom i pedagogom radziłbym dwie rzeczy. Kiedyś, chyba Błoński (rosyjski pedagog, polskiego pochodzenia), zapytany, jak rozwijać polską pedagogikę, gdzie szukać źródeł, odpowiedział: czytajcie Pestalozziego. Pestalozzi to jak wiadomo połowa XVIII wieku i nie wszystkie jego dzieła są wydawane. Natomiast ja bym powiedział: czytajcie Sośnickiego, czytajcie Nawroczyńskiego. Ba! Czytajcie Okonia. Bo u nich jest to, o czym mówiłem wcześniej: pełnia widzenia wychowania, a nie kawałeczek, nie wychowanie przypadkowe. Nauka nie może być incydentalna. Można co prawda kogoś nauczyć czegoś przypadkowo, można wychować, zmienić stosując nietypowe środki. Ale nie można tego upowszechniać, robić z tego reguły, chociaż w konkretnym przypadku może to dać dobry rezultat. Trzeba powrócić do tego, co pisał Sośnicki. Poradnik dydaktyczny... Gdzie jest poradnik dydaktyczny

dzisiaj napisany? Może jeśli uda mi się pożyć jeszcze trochę, to kiedyś siądziemy, może zrobimy jakiś poradnik na wzór poradnika Sośnickiego. Jak uczyć, jak prowadzić zajęcia, a nie jak zdobywać punkty! Nauczyciel musi zdobywać punkty, żeby zrobić awans, później uczy jeszcze przez kilkadziesiąt lat, ale punktów już zdobywać nie musi, bo jest na szczycie. Nie ma systemu, który pozwala (pomaga) doświadczonemu nauczycielowi dalej się rozwijać. Nie ma. Nie wiem dlaczego. To samo dotyczy nauczycieli akademickich. Jeżeli nie robi doktoratu, nie robi habilitacji, to nie może pracować. Gdy jest już profesorem, nie rozwija się już dalej, bo wszystko już osiągnął, a ma jeszcze trzydzieści lat pracy przed sobą. Według mnie cały czas należy się doskonalić, rozwijać, czytać! Teksty mają charakter szczególny...

Dydaktycy żyją najdłużej...

Tak, to prawda. Zawsze mówiłem: dydaktycy żyją najdłużej... Ale ja już dobiegam, bo ile porządny człowiek może żyć... Chociaż w moim wieku będący Sośnicki dopiero trzecie odrodzenie swojej twórczości sobie zafundował. Ale nie każdy jest Sośnickim, takim geniuszem. Czasami zastanawiam się i myślę, że może się nauczę jakiegoś języka. Może hiszpańskiego. Ale natychmiast przychodzi następna myśl, że przecież nie zdążę, na język hiszpański potrzebuję co najmniej trzy lata, żeby go opanować. A ja sobie zdaję sprawę, że mój autobus dojeżdża do końcowego przystanku. Jeszcze trochę jadę. Przymykam oczy, żeby nie widzieć, żeby mi się wydawało, że jeszcze dalej będę jechał, żeby nie zauważyć, że on się zatrzyma i trzeba wysiąść. Zmienia wtedy rozkład albo jedzie z powrotem, albo w inną stronę niż ja potrzebuję. Wobec tego ja nie mogę mieć już zbyt wielkich planów. W tej chwili pracuję nad tekstami do „Rocznika Andragogicznego”. Chcę dokończyć moje zamiary napisania książki o muzeach kobiet polskich. Do wiosny będę chciał do skończyć. Myślę też o takim tekście, który już kiedyś próbowałem w różnych formach napisać. Napisałem *Niepokój o dydaktykę* i chcę jeszcze napisać książkę pod tytułem *Spór o kształcenie ustawiczne*. Myślę o poradniku dydaktycznym, o którym mówiłem. Jak zrobić dobry poradnik dydaktyczny... Ale ja sam tego nie zrobię, nie dam rady... Ale razem moglibyśmy coś zrobić...

Transkrypcję wywiadu wykonały: mgr Kinga Majchrzak, mgr Anna Matusiak, mgr Magdalena Przybylińska, mgr Agata Szwech.